

Przemysław Pawlak

Czy Witkacy miał spowiednika?

Czym religia była dla ludzkości według Witkacego, wyłożył on sam w *Narkotykach*:

Ale jak tylko daleko sięgnie się w dzieje ludzkie, zawsze na jakieś <<omamy narkotyczne>> natrafić można. Widocznie świadomość doprowadzona do pewnego stopnia wyostrzenia nie mogła wprost znieść samej siebie wśród metafizycznej potworności istnienia i czymś musiała łagodzić swą własną perspikację. (...) Religia i sztuka też były przecież kiedyś zastonami dla zbyt okropnie jaskrawo świecącej z czarnej otchłani Bytu – Wiecznej Tajemnicy. (...)

Podobnie działają: religia, sztuka, filozofia, które początkowo wyrażają na różne sposoby metafizyczny niepokój, łagodząc zastonami konstrukcji i uporządkowania uczuć metafizycznych w kultach, konstrukcji form artystycznych w sztuce i systemów pojęciowych w filozofii – okropność samotności indywiduum w bezsensownym Bycie, następnie, w związku z uspokojeniem społecznym, degenerują się i zanikają w miarę zanikania samego niepokoju, do czego same się przyczyniły.

Nie był to jednorazowy wybryk, niebezpieczny zakręt na drodze filozoficznych poszukiwań. Przekonania Witkacego nie ulegały zmianie przez cały okres XX-lecia międzywojennego. Można powiedzieć, że rewolucyjnie oceniał istotę i rolę religii w 1918 roku w *Nowych formach w malarstwie*, bardzo podobnie w najpóźniejszych publikacjach z lat trzydziestych i u schyłku życia, decydując się na samobójczą śmierć w Jeziorach. Zbitka religii i narkotyków brzmi znajomo – kojarzy się z duchowym ojcem i faktycznym przywódcą rewolucji październikowej. Niedaleko od witkacowskiej *zastony i omamów narkotycznych* do marksistowskiej frazy *opium ludu* (*Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa*, 1843) czy leninowskiej *duchowej gorzałki* (*Socjalizm i religia*, 1905).

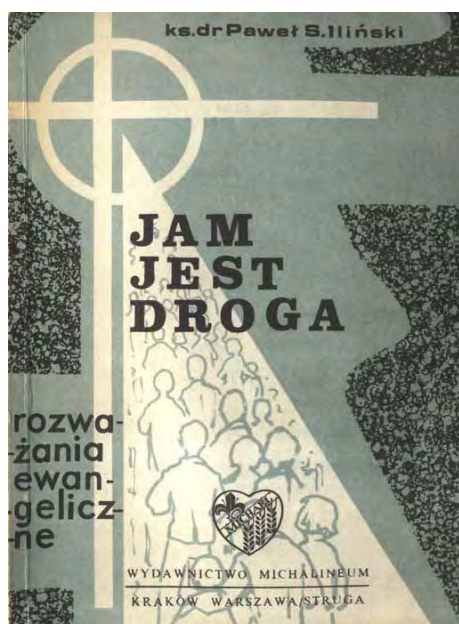
W *Niemytych duszach* Stanisław Ignacy Witkiewicz odzegał się od religijności, przyznając to bardzo otwarcie i bez emocji. Próbując dokonać zdystansowanej samooceny, stwierdził: *Sam jestem człowiekiem absolutnie areligijnym i nigdy nim w istocie poza próbami kompromisu, nawet w dzieciństwie nie byłem. Mówię o tym kompletnie bezstronnie, szanując każdą wiarę, która prowadzi do prawdziwego postępu i twórczości.*

Trudno byłoby obronić tezę, że Witkacy religijność zwalczał. Raczej się jej dziwił. Tak jak zwykle traktuje się zjawiska anachroniczne, tak on oczekiwał wypalenia się, zaniku religijności. On jej obecność przyjmował do wiadomości - jak obecność kobiecego makijażu czy reguł towarzyskiego konwenansu. Uznawał za coś w rodzaju egzystencjalnego ułatwienia, leczenia objawowego. Niepokój metafizyczny, otwartość na ludzi i poszukiwanie odpowiedzi na fundamentalne pytania prowadziło go jednak wielokrotnie do bram katolickich kościołów. Miał bowiem w nich przyjaciół, ciekawych rozmówców, klientów *Firmy Portretowej*. Nie chodzi tu na pewno o ks. Jana Tobolaka, czwartego w historii Zakopanego proboszcza. Ten człowiek-instytucja sprawował rząd dusz w stolicy polskich Tatr w latach 1920-1965. Ale jako endek i antysemita z przekonania, nie mógł mieć wielu wspólnych



tematów z autorem *Nienasyceńca*. W życiu Witkacego pozostawili ślad czterej inni kapłani katoliccy: **Jan Humpola, Paweł Iliński, Henryk Kazimierowicz i Piotr Śledziewski**.

Ks. **Jan Humpola** (1889-1958) tuż przed I wojną światową studiował na Uniwersytecie w Innsbrucku, tam po raz pierwszy chodził po Alpach. W niepodległej Polsce dyrektorował m.in. gimnazjum zakopiańskiemu (1927-1932), gdzie wykładał historię sztuki. Był kapelanem przybocznym Prezydenta RP Ignacego Mościckiego, działaczem społecznym, członkiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, taternikiem, który dokonał kilku pierwszych wejść, m.in. wschodnią ścianą Mięguszwieckiego Szczytu Wielkiego.



Ks. **Paweł Iliński** (1903-1994) w latach 1929-1936 mieszkał w Zakopanem, dokąd przyjechał leczyć płuca. Od 1930 był kapelanem sanatorium Czerwonego Krzyża, ważnego ośrodka zakopiańskiego życia towarzyskiego i kulturalnego. W grudniu 1931 koncelebrował mszę pogrzebową Marii Witkiewiczowej. Witkiewicz podziękował mu osobiście, a potem zaczął odwiedzać w sanatorium, gdzie też pracowali inni jego przyjaciele: doktor Marcei Staroniewicz i Jadwiga Trembecka-Ziębina. Ks. Iliński częstował gościa lwowskimi słodyczami, najczęściej piernikami i śliwkami w czekoladzie. Po wojnie ksiądz Iliński obronił doktorat z prawa kanonicznego (1947) a dwa lata później ubecy aresztowali go pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Watykanu i USA. Rok po śmierci księdza opublikowano *Przeszłość nie mija bez echa. Wspomnienia 1903-1990*, w których parę stron (ss. 146-148) poświęcił Witkacemu i swoim portretem.

Ks. **Henryk Kazimierowicz** (1896-1942) - studiował na KUL i UW, doktoryzował się z filozofii i teologii na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie (1923), był krótko profesorem historii filozofii i kryteriologii Uniwersytetu Żeńskiego w Warszawie; prefekt gimnazjów, wikariusz a następnie administrator wielu parafii w diecezji kujawsko-kaliskiej, łódzkiej i pińskiej, autor publikacji naukowych z dziedziny etnologii, antropologii, historii kościoła, religioznawstwa i - co zaskakujące - propagator psychoanalizy i jej zastosowania w duszpasterstwie. Rozmach jego zainteresowań, odczytanie, umiłowanie sztuk i nauk, bez względu na ich (nie)zgodność z polityką władz kościelnych, powodowało konflikty i nieporozumienia z przełożonymi. Efektem tych tarć, a także



potrzeby zmieniania świata i poszukiwania bratnich dusz na odpowiednim poziomie intelektualnym, były nieustanne przeprowadzki księdza. Zdarzało się, że Witkacy nie wiedział, jak adresować korespondencję, żeby dotarła do aktualnego miejsca pobytu ks. Kazimierowicza. Kapłan przeżył swego przyjaciela o niecałe 3 lata. Zginął śmiercią męczeńską w nazistowskim centrum eutanazji w zamku Hartheim po 10-miesięcznym pobycie w obozie Dachau.

Ks. **Piotr Śledziewski** (1884-1950) - kapelan wojskowy, doktor filozofii i sztuki, artysta, fotografik, jeden z najbliższych przyjaciół pisarza Sergiusza Piaseckiego (polskiego odpowiednika Jeana Geneta) w przedwojennym Wilnie, w środowisku artystycznym zwany zazwyczaj Śledziem, znawca sztuki. Jadwiga Karbowska (pseud. Teddy), recenzentka teatralna „Słowa” wspominała: *Piasecki ufał mu bezgranicznie. Jeśli Śledź powiedział: „To opowiadanie jest słabe”, Piasecki darł kartki i wrzucał do kosza.* Ostatnie lata życia ks. Śledziewski poświęcił na odtworzenie Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu, którego został dyrektorem w 1948. Jan Sunderland doceniał dorobek Śledziewskiego-fotografa: *artysta o wybitnej indywidualności. Prace jego odznaczają się rzadką u jednego artysty różnorodnością wizji, pełnej poezji w wyrazie, a umiaru w ujęciu. Książd Piotr potrafi przedziwnie trącać o głęboko ukryte struny wrażliwości estetycznej.*



Tylko ksiądz Humpola nie miał tytułu doktora, był za to w Wojsku Polskim w stopniu dziekana, co w II RP odpowiadało randze pułkownika. Jego Witkacy poznał najwcześniej, 2 stycznia 1928 przeszli na ty. Kilka lat później, będąc w Nowym Sączu, snuł z przekąsem domysły, czy czasem Helena Maciakowa nie była kiedyś kochanką księdza Humpoli (list do Jadwigi Witkiewiczowej z 7 kwietnia 1934). No cóż, jako prezydencki kapelan, będąc na sanacyjnym świączniku, ksiądz musiał się liczyć z dociekliwością i ludzkimi językami. Dziś byłby prawdopodobnie chętnie zapraszany celebrytą.

Co najmniej raz sportretowani przez Witkacego byli ks. Śledziewski i ks. Kazimierowicz, co najmniej trzykrotnie ks. Iliński, aż ośmiokrotnie ks. Humpola. Wszyscy sportretowani przeżyli malarza, ale tylko księdzu Ilińskiemu pisana była długowieczność. Artysta, jeśli już poznawał księży, to zazwyczaj w Zakopanem. Łącznikami były Tatry, wspinaczka, wspólni znajomi, spotkania towarzyskie i niepowtarzalna atmosfera międzywojennego Zakopanego. Wyjątkiem był ks. Henryk Kazimierowicz, który cenił, choć to za małe słowo, podziwiał, uwielbiał Witkiewicza - dramaturga. Na długo przed osobistym z nim zetknięciem czytał, analizował, wręcz studiował kolejne dzieła Witkacego. A spotykały się one przecież wtedy z nikłym odzewem społecznym i niezrozumieniem u krytyków.

Książd Kazimierowicz szedł dalej - zajął się propagowaniem sztuk ulubionego autora w najmniej spodziewanych miejscach i najodleglejszych wioskach, kompletując amatorskie zespoły teatralne pośród parafian. W tym przypadku to kapłan zainicjował ośmioletnią przyjaźń, zjawiając się u Witkacego w Warszawie na Brackiej. Witkacy odwiedzał Kazimierowicza w poleskim Stolinie, Tłokini



koło Kalisza, a prawdopodobnie także w nadbużańskim Mielniku. Latem 1938 ksiądz starał się wydać w drukarskich Zakładach Ziemi Sieradzkiej *Metafizykę dwugłowego cielęcia z własnym przedstwieniem i posłowiem*. Spisywał je - z braku pieniędzy na papier - *na torbach od cukru, depeszach i odwrotnych stronach różnych rachunków i powiadomień*. Próbował też wzbogacić to wydanie kilkoma rysunkami, jednak Witkacjusz zareagował histerią na sam pomysł wypożyczenia ich przyjacielowi.

W korespondencji a czasem również na plebanii w Tłokini Henryk ze Stachem roztrząsali istotę bytu, omawiali postępy w pracy nad ostatnią sztuką *Tak zwana ludzkość w obłądzeniu*, grywali na XIX-wiecznym fortepianie. Pozwalali sobie na muzyczne *chłusty*, ale też

brodzili w samobójczych myślach coraz bardziej schorowanego, zirytowanego nadchodzącą starością, głuchnącego Stacha. Henryk żalił się na początki gruźlicy i niezrozumienie homilii u wiernych. Kazimierowicz dosłownie żył Witkacym. To była jego pasja, ucieczka od codzienności, estetyczne wyznanie wiary. Mieli o to do niego pretensje biskupi, dziwili się parafianie, pomstowała siostra Aleksandra Wierzbowska. A może ksiądz liczył po cichu na nawrócenie Stacha? Może podświadomie wcielił się w Wyprztyka chrystianizującego Helę Bertz? Awangardowy, niekonwencjonalny w formie, potrafił zażarcie bronić Boga i Kościoła - tego przez duże K, bo działania niektórych hierarchów i pasterzy ostro krytykował. Śmierć przyjaciela 18 września 1939 musiała pozbawić księdza największej - po nadziei na życie wieczne - pociechy w doczesnym życiu.

Ze względu na kierunki badań naukowych Kazimierowicza w I połowie lat dwudziestych XX wieku, musieli mieć wiele zbieżnych zainteresowań i tematów do dyskusji nie tylko z Witkiewiczem, ale i Bronisławem Malinowskim czy Tadeuszem Micińskim, gdyby temu udało się przeżyć czas rewolucji bolszewickiej. Wszyscy poszukiwali w swych pracach pierwotnych źródeł wierzeń religijnych. Pytali czy metafizyka dotyczyła człowieka pierwotnego, czyli czy istniał przed strachem jakiś element nieredukowalny w kulturze, czy też religia zrodziła się tylko ze strachu i niewiedzy. Interesowała ich mana i tabu, rola rytuału i emocji. Ksiądz poświęcił temu zagadnieniu m.in. obszerne eseje drukowane w „Przeglądzie Katolickim”: *O kulturze pierwotnej. Psychologiczne kryterium pierwotności objawów kulturowych* (1924), *Rodzina pierwotna w świetle etnologii i etnopsychologii* (1930), *Dogmat a religia osobista* (1931). Wielokrotnie odwoływał się w nich do badań Malinowskiego, ale jedną pracę poświęcił im w całości, tj. *Teorię emocjonalnej genezy religii* (1931).

Kazimierowicz najpierw streścił teorię Malinowskiego w trzech тезach: 1) *emocjonalny stosunek człowieka pierwotnego do świata*; 2) *stwierdzenie istnienia many drogą emocjonalnego wnioskowania* i 3) *pochodzenie rytuału z odruchów, ruchów i głosów ujawnianych pod wpływem gwałtownego uczucia. Religia i magia w genezie są czymś jednym. Ich rozdział następuje później. W każdym razie nie ma go jeszcze na stopniu genetycznym*. Następnie przystąpił do krytycznej oceny tych тез, występując z pozycji obrońcy: człowieka = istoty rozumnej a nie tylko kierującej się popędami i emocjami oraz Boga = przyczyny świata: *Teoria emocjonalna jako punkt wyjścia religii podawała mgławicę — manę, od której odrywały się części, zgęszczające się w globy — bogi. My wykazaliśmy, że nic nas nie zmusza do przyjmowania genetycznego związku między mana*

a religią, dla której własnym punktem wyjścia, równie pierwotnym jak mana, jest spoglądanie na świat przez pryzmat przyczyn osobowych. Prace etnologów ostatniej doby, jak A. Langa, Le Roy, Schmidta i innych stwierdzają, że przyczyna sprawcza świata nawet u pierwotnych jest ujmowana monoteistycznie. Dogmatyczna nauka Kościoła o poznawalności Boga jedyne i osobowe ze stworzeń ma właśnie w założeniu tę podpatrzoną i zrozumianą naturę umysłu ludzkiego, której istnienie wierzeń politeistycznych nie zadaje kłamu. (...) Umysłowość ludzka już od zarania ma do czynienia z przyczynami sprawczymi lub z przyczyną pomyślaną osobowo, co stanowi embrion życia religijnego, podczas gdy magia, równie stan jak religia, wyływa z emocji i im zawdzięcza swe trwanie.

To, że badacz wysp Polinezji, jeden z twórców współczesnej antropologii Bronisław Malinowski znał manaistyczną koncepcję energii, nie jest czymś zaskakującym. Ale może szokować fakt, że alumn wrocławskiego seminarium duchownego, błakający się w porwanej sutannie po błotnistych parafiach Polesia, twórca amatorskich teatrzyków i gazetek ściennych, pisał w 1937 traktat o minach i grymasach (nieukończony, niepublikowany, w zbiorach Muzeum Literatury w Warszawie), analizujący istotę mana: *Nosiciel więc grymasu, podmiot maski budzącej przerażenie, zionie maną i w pewnym sensie jest nią samą, wyłania z siebie boski pierwiastek i sam jest tym bogiem. Inaczej mówiąc mamy tu jedną z atrybucji many złocynnej: wzbudzanie przerażenia, przechodzącą w samo bóstwo: boga – stracha. Przedstawicielami tego rodzaju bóstw hipostazujących strach jako taki są w pierwszej linii potwornie wykrzywione twarze posągów bóstw, signa militaria zawierające umieszczane na kosach maskary, które tak przerażały naszych przodków w epoce najazdów tatarów.* Kazimierowicz był niewątpliwie człowiekiem wybitnym, tak jak Witkacy - geniuszem zawczesnym. Jak trafnie skonstatował ksiądz Kazimierz Rulka, dyrektor biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego we Wrocławku, publikacje Kazimierowicza były zbyt kontrowersyjne nie tylko w XX-leciu międzywojennym. Dziś okazałyby się pewnie trudniejsze do zaakceptowania przez polski kościół.

Prof. Janusz Degler w wywiadzie udzielonym Krzysztofowi Kucharskiemu 5 października 2009 tak wyjaśniał olbrzymią płodność epistolarną Witkacego - tysiące listów, w tym także do ks. Kazimierowicza: *Korespondencja miała stanowić pomost między jednym Istnieniem Poszczególnym a wybraną, najbliższą mu „monadą” i właśnie dzięki temu nie pozostawało się samemu z sobą. Kiedy czyta się jego listy, widać, jak powoli wciąga adresata w krąg swoich spraw, jak zaczyna traktować go jak spowiednika, zwierając się z najbardziej intymnych przeżyć. Liczył na podobną wzajemność. Intensywny dialog korespondencyjny stanowił często ucieczkę przed samotnością. Bo był to jednak człowiek samotny, mimo wielu przyjaciół i znajomych, a także roju kobiet, który go otaczał.*

Ksiądz Henryk Kazimierowicz był zatem nie spowiednikiem - uszanujmy deklarowaną areligijność autora *Sonaty Belzebuba* - lecz właśnie najlepiej wyselekcjonowaną monadą Witkacego.

